Rocznik I. Kraków 15-go stycznia 1908. Nr. 4.

NASZA SKARBNICA

wychodzi **raz** w miesiącu, około dnia 15-go.

Prenumerata „NASZEJ SKARBNICY“ wynosi:
w AUSTRYI na rok 3 korony — na pół roku 1 kor. 50 hal. — Do NIEMIEC na rok 3 kor. 50 hal. — Do AMERYKI na rok 1 dolar.

ADRES do przesyłania prenumeraty:
Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie, ul. Wolska 28.

NA NOWY ROK.

Stary poszedł het gdzieś precz,
Nowy rok już wita nas.
Pamiętajmy, że już wstecz
Już nie cofnie dla nas czas.

Do roboty wszyscy wraz,
Póki życia starczy wiek!
Niech pamięta każdy z nas,
Że gromada — wielki człek.

Swój ojczysty zagon órz,
Dobre ziarno w niego siej,
Potem w Bogu ufność złóż
I nadzieję w sercu miej.

Wspomóż biednych w miarę sił,
Zaciągnięty spłać też dług,
Nie bądź sobkiem; patrz byś żył,
Jak nas żyć nauczył Bóg.

Rozum z pracą połącz wraz,
O oświatę także dbaj;
Niech pamięta każdy z nas:
Dość ciemnoty ma nasz kraj.

Szybko łódka życia mknie,
W bezpowrotną kędyś dal.
Baczność! kto steruje źle,
Wśród burzliwych ginie fal.

Rad to niebrak w Nowy Rok, —
Wykonanie — inna rzecz.
Kto się cofnie w ciemność, mrok,
Niechaj od nas idzie precz!

Oto w życiu nowy krok.
Prośmyż Boga z całych sił,
Aby chociaż nowy rok
Dla nas wszystkich dobry był.

Troska o ubogich u pierwszych chrześcijan.

„Coście uczynili jednemu z braci moich najmniejszych, mnieście uczynili“ — powiedział Zbawiciel do uczniów swoich i dlatego to wierni od samego początku istnienia Kościoła otaczali ubogich szczególną miłością i opieką.

Jak w pierwszych dniach Kościoła rozdzielaniem jałmużny między ubogich zajmowali się Apostołowie. tak w czasach późniejszych powinność tę spełniali ich następcy: Biskupi i kapłani.

Mnóstwo było ubogich w Rzymie, w tej stolicy ówczesnego świata, gdzie obok największych bogactw gnieździła się największa nędza! I właśnie w Rzymie zakwitła najbujniej chrześcijańska miłość bliźniego, a pierwsze wieki Kościoła opowiadają nam o wzruszających przykładach chrześcijańskiego współczucia dla biednych.

Na wzgórzu awentyńskiem, u którego stóp stacza się rzeka Tyber do morza, wznosi się dzisiaj kościół, pochodzący z czasów apostolskich a poświęcony św. Prysce. Dawniej kościół ten był pod wezwaniem Akwili i Pryski, małżonków, nawróconych przez św. Pawła, którzy posiadali dom na Awentynie. Otóż ten dom stanowił jedną ze siedmiu dyakonii, gdzie ubodzy stale otrzymywali wsparcie

z rąk dyakonów, których najgłówniejszym obowiązkiem była troska o ubogich.

Przenieśmy się w myśli do domu Pryski, gdzie właśnie ma się zacząć rozdawanie jałmużny między ubogich. Gromadka sędziwych starców, mężczyzn i kobiet, chromych i ślepych, kalek wszelkiego rodzaju — czeka w przedsionku; przybyli też niektórzy bogatsi chrześcijanie, ażeby przyjrzeć się rozdawaniu jałmużny.

Kapłan Justinus kazał wejść zgromadzonym do wnętrza i zawiadomił ich, że dziś otrzymają biedni hojną jałmużnę. Oto pewna osoba sprzedała wszystkie kosztowności i dobra ziemskie, i złożyła część pieniędzy w ręce kapłana, aby ten obdarował ubogich.

Po tej przemowie dyakon przystąpił do rozdzielenia darów między ubogich. Każdy otrzymał hojną zapomogę, która mogła na kilka tygodni oddalić głód i nędzę od biedaków.

„Któż jednak jest tym dobroczyńcą, który nas tak hojnie obdarował?“ — pytali się ubodzy Justinusa.

„Bóg tylko zna jego imię“ — odpowiedział kapłan.

„Jest to zapewne jakiś wysoki, dostojny pan; niech mu Bóg tysiąckrotnie wynagrodzi dobre jego serce“ — mówił jeden z biedaków.

W tyle kaplicy stała jakaś wysoka postać kobiety, odzianej w obszerny płaszcz. Łzy radości płynęły z jej oczu, gdy słyszała dziękczynienia obdarowanych chrześcijan. Była to Tryfonia, żona cesarza Deciusa, groźnego prześladowcy chrześcijan; ona, w przeczuciu bliskiej śmierci, sprzedała wszystkie kosztowności ze srebra i pieniądze przeznaczyła dla biednych.

Było to w Wielkanoc 257 r. Otóż zdarzyło się, że do Biskupa Stefana przybyli jacyś dwaj młodzieńcy chrześcijańscy. Białe szaty, które nosili, wskazywały, że byli oni neofitami czyli nowochrzczeńcami, którzy w samą Wielkanoc otrzymali Sakrament chrztu świętego. To też Biskup przyjął ich bardzo serdecznie.

„Czegoż to pragniecie, moje drogie, nowonarodzone dzieci?“ — spytał ich Biskup. Młodzieńcy milczeli, spoglądając jeden na drugiego. — „Myślę, że żądanie wasze nie jest zdrożnem?“ — mówił Stefan.

„Tak, lecz nie wiem, jak je mam wyjawić!“ — odrzekł w zakłopotaniu jeden z przybyszów.

„A więc może Felicissimus będzie umiał lepiej to powiedzieć?“ — mówił śmiejąc się Biskup.

„Nie lepiej od mojego brata Agapitusa“ — odrzekł pierwszy; — „otóż rozchodzi nam się o pieniądze!“

„Czy mam wam może pożyczyć pieniędzy? ja, który sam zdany jestem na darowiznę moich wiernych — wam, bogatym obywatelom Rzymu?“ — żartował Biskup.

„Nie jesteśmy już bogaczami, przed tygodniem bowiem sprzedaliśmy po cichu nasze dobra“ — odrzekł Agapitus.

„A teraz oto przynosimy okup i prosimy cię, Ojcze święty, abyś go rozdał między ubogich“ — dodał z pokorą Felicissimus.

Ze zdziwieniem słuchał Papież tych słów. Nie było to wprawdzie rzadkością, że nowonawrócony rozdawał swój majątek biedakom; lecz poruszyła Biskupa owa skromność, z jaką młodzieńcy wręczyli Biskupowi hojny dar.

„Uczyłeś nas przecież“ — mówił skromnie Felicissimus — „że nie powinniśmy przywiązywać się do dóbr ziemskich, które zje rdza i rozkradną złodzieje. To, co dajemy biednym — tośmy dali naszemu Zbawicielowi“.

W taki i inny sposób otrzymywali Zwierzchnicy Kościoła jałmużny i tworzyli z tego tak zwany „skarb ubogich“, który składał się z darów pieniężnych, odzienia, środków żywności i t. d. Skarb ubogich od pierwszych czasów chrześcijaństwa rozwijał się bardzo pomyślnie i był wystarczający na wszelkie potrzeby. Ze skarbu tego utrzymywał Kościół za czasów Papieża Korneliusza (254 do 255) pięć tysięcy ubogich w Rzymie!

Skarbem zarządzali i rozdzielali jałmużnę dyakoni. Papież Kajus (283—296) podzielił miasto Rzym na siedm dzielnic, z których każda pozostawała pod opieką jednego ze siedmiu dyakonów rzymskiego Kościoła. Dyakoni prowadzili spisy ubogich swojej dzielnicy z podaniem imienia, wieku, sposobu zarabiania i mieszkania ubogiego. W ten sposób zaprowadzono ścisły porządek tak, że pomoc otrzymywali tylko prawdziwie ubodzy wierni, inni zaś, jak: próżniacy byli wykluczeni od jałmużny.

Pierwsi chrześcijanie otaczali także miłością pogan, jak o tem świadczy następujące zdarzenie:

W zapadłej chacie, w dzielnicy rzymskiej Sabura, leżał na brudnym barłogu chory na febrę; w jednym kącie izby siedziała w smutku kobieta, troje zaś pół-nagich dziatek domagało się chleba. Widocznie wielka tu panuje nędza; posążki bogów, stojące na oknie, mówią nam, że mieszkańcy chatki są poganami.

Wtem wszedł do izby młodzieniec o złocistych włosach. Kobieta podniosła się z przerażenia. Jest to posłaniec bogów — myśli w duszy — i pada na kolana przed młodzieńcem. Przybyszem tym był Tyburcyusz, chrześcijanin. nawrócony wraz z bratem swoim Waleryanem przez świętą Cecylię. Obchodził on chaty biedaków i nędzarzy, wspomagał ich jałmużną.

Tyburcyusz przystąpił do łoża chorego, złożył ręce i modlił się małą chwilkę; następnie zrobił znak krzyża świętego na czole chorego — i oto! febra ustała. twarz chorego złagodniała, a na pół otwarte jego powieki ułożyły się do spokojnego snu. Tyburcyusz zwrócił oczy ku niebu, dziękując za wysłuchanie jego prośby. Kobieta zaś zawołała: „Bogom niech będzie chwała, którzy cię tu zesłali!“

„Dziękujcie Temu“ — mówił Tyburcyusz — „który panuje na niebie i na ziemi, i który może uzdrowić nie tylko ciało, ale także duszę ludzką!“ Pogańska kobieta nie rozumiała tych słów. Tyburcyusz wręczył jej kilka sztuk pieniędzy i rzekł: „Idź i kup jedzenia, dla głodnych dzieci i chorego!“ Kobieta pobiegła na miasto a Tyburcyusz zbliżył się znowu do łóżka chorego, który spał spokojnie.

Wkrótce powróciła kobieta z żywnością i nakarmiła wygłodzone dzieci. Chory zaś otworzył oczy i uśmiechał się. Tyburcyusz podał mu kubek z wodą, którą chory chciwie wypił.

„Jesteś ocalony“ — mówił Tyburcyusz — a i twoja rodzina nie dozna już odtąd nędzy!“

„Był to twardy sen“ — rzekł chory; — „zdawało mi się, żem się już staczał w bezdenną przepaść, gdy wtem przyszedł dobry jakiś bóg, który mnie uratował;

i im więcej się tobie przyglądam, tem więcej zdajesz mi się być podobnym do niego".

„Uspokój się!" — odrzekł na to śmiejąc się Tyburcyusz; — „potrzebujesz teraz spokoju, wkrótce zaś odwiedzę cię znowu". I Tyburcyusz oddalił się.

I codzień odwiedzał teraz Tyburcyusz dom biedaków, jako ich dobroczyńca i zwiastun świętej Ewangelii. A już błogosławionym był dzień, w którym ta rodzina niedawnych nędzarzy została przyjęta na łono Kościoła przez Papieża Urbana. Tyburcyusz obchodził tę uroczystość w niebie, gdyż poniósł on zaszczytną śmierć męczeńską. Nowonawrócona rodzina po chrzcie świętym poszła na grób świętego męczennika w wielkiej katakombie św. Kaliksta i tam paliła na grobie lampy.

Wspomnieć tu jeszcze wypada o pięknym czynie Papieża świętego Sykstusa II, który zasiadł na tronie papieskim po świętym Stefanie w roku 260. Cesarz Waleryan skazał wtedy na wygnanie Biskupów, zakazał gromadzić się chrześcijanom i rozkazał zagrabić ich majątki. Papież Sykstus został skazany na śmierć.

W przededniu swej śmierci kazał Sykstus sprzedać wszystkie skarby Kościoła, przeczuwając, że mogą one stać się pastwą pogan. Sprzedano więc wtedy wszelkie drogocenne naczynia kościelne ze złota i srebra — a pieniądze rozdano między tysiąc pięćset ubogich, których wówczas utrzymywał Kościół rzymski.

Opis życia Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Młodzieńcze lata Pana Jezusa

Zwiastowanie o narodzeniu św. Jana Chrzciciela.

M o d l i t w a Z a c h a r y a s z a. W Judei, za panowania króla Heroda, w niewielkiem miasteczku Hebronie, mieszkał żydowski kapłan, Zacharyasz, ze swą żoną Elżbietą. Oboje bardzo świątobliwie wypełniali wszystkie przykazania Boskie i z wiarą oczekiwali przyjścia obiecanego przez Boga Zbawiciela świata. Doczekawszy późnej starości, smucili się bardzo tem, że byli bezdzietni, gdyż u żydów uważano to

za niebłogosławieństwo Boże. Często i szczerze prosili Boga, aby im dał dziecię, ale przez długie lata nie byli wysłuchani, aż wkońcu zupełnie zwątpili, iż kiedykolwiek spełnią się ich życzenia i z pokorą poddawali się swemu losowi.

Oznajmienie Anioła. Pewnego razu, gdy Zacharyasz odprawiał zwykłe nabożeństwo w Jerozolimskiej świątyni i sypał na ołtarz kadzidło, ujrzał Anioła, stojącego po prawej stronie ołtarza. Na razie przeląkł się bardzo, lecz Anioł uspokoił go, mówiąc: »Nie bój się, Zacharyaszu! bo jest wysłuchana prośba twoja: Żona twa Elżbieta powije syna, i nazwiesz imię jego Jan. A ty będziesz miał wesele i radość, i wiele ich będą się radować z narodzenia jego; albowiem będzie wielki przed Panem. Wina pić nie będzie, a będzie napełniony Duchem Świętym. Nawróci wielu synów izraelskich ku Panu Bogu ich. Uprzedzi przed Panem w duchu i mocy Eliaszowej, iżby zgotował Mu lud doskonały«.

Zacharyasz traci mowę. Wieść ta radosna była tak niespodziewaną, że w pierwszej chwili Zacharyasz nie mógł w nią uwierzyć i prosił Anioła, aby mu czemśkolwiek dowiódł prawdziwości słów swoich. Wtedy Anioł powiedział: »Jam jest Gabryel, który stoję przed Bogiem: a jestem posłany, abym to dobre poselstwo tobie odniósł. Ażeś słowom moim nie uwierzył, nie będziesz mógł mówić, aż do dnia, którego się to stanie«. Rzekłszy to, Anioł znikł.— Zacharyasz wyszedł ze świątyni, lecz nie mógł przemówić ani słowa. Lud zrozumiał, iż miał widzenie, i wszyscy się rozeszli w milczeniu. Zacharyasz wrócił wtedy do Hebronu i czekał spełnienia przepowiedni Anioła.

Zwiastowanie o narodzeniu Jezusa Chrystusa.

Narodzenie się i dziecięctwo Maryi. W małem miasteczku galilejskiem, Nazaret, mieszkała siostra Elżbiety, Anna, której mąż, Joachim, pochodził z królewskiego rodu Dawida. Byli już w późnym wieku i także nie mieli dzieci, przeto gorąco błagali Boga, by ich obdarzył dziecięciem, obiecując poświęcić je na służbę Bogu. Nakoniec, Bóg wysłuchał ich modlitwy i dał im córkę, której dali imię Marya. — Ona to, z powodu przyszłych zasług swego syna Jezusa Chrystusa, była niepokalanie poczętą, to jest

nie podlegała grzechowi pierworodnemu, który ciąży na duszy każdego nowonarodzonego człowieka.

Gdy dziecię skończyło trzy lata, Joachim i Anna pomnąc na swą obietnicę, odprowadzili je do świątyni Jerozolimskiej. Tam Maryę spotkali kapłani, a arcykapłan z natchnienia Bożego, wprowadził ją do najświętszego miejsca



Anioł Pański zwiastuje Najśw. Pannie Maryi, że pocznie i porodzi Zbawiciela świata.

w świątyni, dokąd sam nawet, nie zawsze miał prawo wchodzić.

M ł o d o ś ć M a r y i. Marya wychowywała się przy świątyni pod opieką świątobliwych niewiast, będąc oddaną całkowicie pracy, samotności i gorącej modlitwie. Było podówczas w zwyczaju, że po skończeniu lat 14-tu, niewiasty wychodziły za mąż; lecz Najświętsza Panna ślubowała Panu Bogu, iż za mąż nigdy nie wyjdzie, ale całkowicie poświęci

się dobrym uczynkom. Kapłani nie śmieli jej odwodzić od tego zamiaru. Ponieważ jednak rodzice Maryi już nie żyli, trudno więc było zostawić sierotę bez opieki; poślubili ją więc pobożnemu mężowi, który miał być jej opiekunem, kierować nią i dopomagać w spełnieniu miłosiernych uczynków. Najświętsza Panna zamieszkała odtąd wraz ze św. Józefem w Nazarecie, pomagała mu w gospodarstwie, a chwile wolne poświęcała modlitwie i czytaniu Pisma świętego.

Zjawienie się Anioła. Razu pewnego, gdy Najświętsza Marya Panna czytała proroctwa o narodzeniu Zbawiciela, ukazał się jej Archanioł Gabryel i pozdrowił ją, mówiąc: »Zdrowaś Marya, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami«. Następnie zwiastował, że jest przysłany od Boga, aby oznajmił jej, iż została obrana na matkę Zbawiciela świata, któremu ma być imię Jezus. Najświętsza Panna wysłuchawszy z największą pokorą słów Anioła, zapytała, jak się to stać może, kiedy ona wykonała ślub nie wychodzenia za mąż. Anioł jej rzekł, iż stanie się to za wszechmocną sprawą Ducha Świętego. Marya uwierzyła słowom Anioła i powiedziała: »Oto ja służebnica Pańska, niechaj mi się stanie według słowa twego«, poczem Anioł zniknął.

Nawiedzenie Elżbiety i narodzenie św. Jana.

Spotkanie Elżbiety z Maryą. Wkrótce po ukazaniu się Anioła, Marya udała się do ciotki swej Elżbiety, żony Zacharyasza, aby jej opowiedzieć, co się stało i podzielić się radosną nowiną, jaką jej Anioł oznajmił. Zaledwie Marya przestąpiła próg domu Elżbiety, gdy ta z natchnienia Bożego nazwała Ją Matką Boga i powiedziała, że Marya słusznie uwierzyła słowom Anioła, gdyż syn Jej będzie rzeczywiście Odkupicielem świata. Marya, słysząc powtórzenie słów Anioła, w gorących wyrazach dziękowała Bogu za zwiastowane szczęście. Zabawiwszy u Elżbiety około trzech miesięcy, Marya powróciła do Józefa, któremu Anioł także oznajmił, że Najświętsza Panna będzie miała syna, któremu dadzą imię Jezus, — co znaczy Zbawiciel.

Narodzenie św. Jana Chrzciciela. Po niejakim czasie ziściła się przepowiednia Anioła i Elżbieta powiła syna. Rodzice ogromnie się cieszyli i ósmego dnia po na-

rodzeniu się dziecięcia zaprosili krewnych i znajomych, chcąc mu dać imię, jak to było przepisane prawem Mojżeszowem. Zebrani krewni chcieli go nazwać imieniem ojca, lecz Elżbieta wyraziła swe życzenie, aby dziecięciu dano imię Jan.

Obecni zwrócili się wówczas do Zacharyasza, a ponieważ tenże był jeszcze niemym, wziął więc tabliczkę i napisał na niej: »Jan jest imię jego«. I wnet, ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich zebranych, Zacharyasz odzyskał mowę i zaczął wychwalać Pana, i przepowiadać życie swego syna, mówiąc, iż on będzie poprzednikiem Zbawiciela, któremu przygotuje drogę, sposobiąc naród do przyjęcia Go. Wieść ta rozeszła się szybko po całej Judei i wielu Izraelitów z wiarą i nadzieją zaczęło oczekiwać Chrystusa.

Narodzenie Pana Jezusa i pokłon pasterzy.

P o d r ó ż J ó z e f a i M a r y i d o B e t l e e m. Już dawno przed przyjściem Chrystusa Pana prorocy przepowiedzieli, że Zbawiciel świata powinien się narodzić w małem miasteczku Judei, Betleem; tymczasem zaś Marya z Józefem mieszkali w Nazarecie. Aby ta przepowiednia ziściła się, Bóg tak zrządził, że cesarz rzymski August wydał rozkaz, aby spisano wszystkich poddanych państwa rzymskiego. Każdy więc musiał zapisać się w tem mieście, skąd był rodem sam lub przodkowie jego. Józef i Marya pochodzili z pokolenia króla Dawida, który się narodził w Betleem, przeto musieli udać się do tego miasteczka, aby się tam zapisać. Przyszedłszy do Betleem, nie mogli już znaleźć dla siebie noclegu, gdyż z powodu spisu ludności miasto było przepełnione przejezdnymi i wszystkie domy były zajęte. Na przedmieściach nawet nie można było wyszukać schronienia. — Wyszli więc za miasto i zatrzymali się w grocie, gdzie pasterze zapędzali swe trzody podczas niepogody. Tam to narodził się Zbawiciel świata. — Najświętsza Panna Marya owinęła Go w pieluszki i złożyła w żłobie na sianie przeznaczonem na pokarm dla bydląt.

P o k ł o n p a s t e r z y. W tę samą noc pasterze paśli swoje trzody w pobliżu betleemskiej groty; nagle ujrzeli Anioła, spuszczającego się z nieba ku nim. Z początku przerazili się tym widokiem, gdyż mając siebie za grze-

snych ludzi, myśleli, że Pan Bóg zsyła Anioła, aby ich ukarał za grzechy. Anioł uspokoił pasterzy, mówiąc, iż jest przysłany od Boga, jako zwiastun radosnej wieści o narodzeniu się Zbawiciela świata, którego mogą oglądać w żło-



Narodzenie Chrystusa Pana i hołd pasterzy.

bie, w stajence. Gdy Anioł to mówił, ukazało się mnóstwo innych Aniołów i wszyscy razem chwalili Boga, mówiąc: »Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli«. Gdy Aniołowie znikli, pasterze oprzytomnia-

wszy, zaczęli dziękować Bogu za Jego dobroć i miłość ku ludziom i pośpieszyli do nowonarodzonego Chrystusa, leżącego w żłobie. Upadłszy przed Nim na kolana, oddali pokłon i złożyli Mu w ofierze skromne dary z trzód swoich, a wracając ze stajenki, opowiadali po drodze wszystkim, kogo tylko spotkali, o narodzeniu się Zbawiciela świata.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Starosta Wilczek.

Powieść z czasów Zygmunta III., przez *B*.

(Ciąg dalszy).

VI.

Wynędzniała długą boleścią, z wrytą w ziemię źrenicą siedziała wsparta na łokciu w samotnej swej komnacie pani Wilczkowa. Słońce jesienne zmierza ku zachodowi, cisza na dworze, cisza w komnacie. Czasem ją tylko zakłóci niezrozumiałem słówkiem trzechletni Wacławek: »Matko! nie smuć się; tatka powróci. Ja wiem, bo mi pan Drozdowski powiadał«. Ona się zrywa, ściska, tuli do siebie chłopczynę i łzami oblewa, i znowu marzy smutnie. Wtem się drzwi otwarły, wszedł Drozdowski.

— Mościa pani! jakiś wojak oddał to pismo pod moją niebytność. Wróciwszy z miasta dopytywałem się wszędy o niego, ale jakby się w ziemię zapadł. Powiadają mi tylko, że coś nie z polska był ubrany, zresztą nic nie wiedzą. Tak ci to, kiedy człowieka niema, to się wszystko opak dzieje.

Odebrała z obojętnością ten list Starościna. Lecz któż pojmie jej radość i trwogę, gdy poznała pismo drogiego Tomasza. Rozrywa i czyta.

»Najdroższa Zofio! Ten sam Bóg, co ludowi swemu dał zwycięstwo nad niewiernymi, nie chciał, bym się wspólnie z wami cieszył. Ciężko raniony w boju, dostałem się w ręcę wroga, który mnie skutego w żelaza już wprowadzał w głębie państw swych.

Ale tenże sam Bóg Wszechmocny tej ostatniej nie dał mi doczekać hańby, bym jako prosty niewolnik krwawym potem czoła wysługiwał się okrutnemu panu. Star-

gane siły, ciężka niemoc, już mnie rzuciły na łoże śmierci. Wkrótce przeniosę się do wieczności, spokojny przynajmniej, że wśród oswobodzonej z jarzma umieram Ojczyzny! O was litościwy Ojciec wszystkich sierot radzić będzie. Nie bluźń świętym jego wyrokom najukochańsza żono! przyjm spokojnie cios, którym Mu nas dotknąć podobało, a szanuj zdrowie dla sierot naszych. Pamiętaj mi zawsze o nich!... Przyciskam was wszystkich do ojcowskiego łona i błogosławię!«

Piorun kary niebios nie razi tak winowajcy, jak te słowa wstrząsnęły duszą niewiasty. Najokropniejsza boleść ścisnęła jej serce, padła na sofę i wśród ciężkich łkań ledwo te słowa wyjęczeć mogła:

»Więc niema cię już dla mnie drogi Tomaszu, straciłam cię na wieki! O czemuż los okrutny, co ciebie mi wydarł, nie zawarł mnie w jednej z tobą trumnie?... Czemuż o nieba! zostawiacie jeszcze na tym cierpień padole nieszczęśliwą ofiarę waszej srogości!...«

Po tych jękach oblicze jej bladość oblała śmiertelna, sine wargi mocno się ścięły, krew w żyłach bić przestała. Ledwo po długiem trzeźwieniu wrócono życie nieszczęśliwej. Westchnęła: »Nie masz cię już najdroższy Tomaszu!« a łzy lały się z jej oczu.

Drozdowski na wskróś i stratą pana i cierpieniem żony jego wzruszony, szlocha, jak bóbr, gdy mu tygrys jedyne wydrze dziecię. Biega samotny, do nikogo słowa nie rzeknie; dopóki mu łzy nie ulżą na sercu. Potem zmusza twarz do dawnej swej wesołości, przychodzi do swojej pani i znowu pociesza.

— Cóż tam mościa pani! że tak Starosta nasz napisał? Jeszczeż nam przecie nikt nie doniósł, żeby nam Pan Bóg go zabrał, chociaż prawie cały kraj nasz zbiegały posły. A wszakżeż jeszcze w Polsce pisał ów list jegomość pan nasz. Oczywista rzecz, że Bóg wrócił mu zdrowie i dalej poszedł z Turkami. A gdy tak jest, czegoż nam się troszczyć? A toż to jeden z naszych wędrował z chamem Turkiem w jassyr? Rabuś nie głów, lecz złota przyszedł szukać w naszej Polsce. Nie troszcz się mościa pani; skoro się wywiem o naszym panie, ja sam pojadę z okupem, a choćby się i z samym sułtanem rozprawić przyszło, przy-

sięgam na moją siwiznę, że wydobędę Starostę i tu do Sokołowa przywiozę. Przecież i król jegomość nie odmówi nam swojej pomocy do powrócenia krajowi tak wielkiego pana, tak znakomitego męża i do szabli i do rady. Utul mościa pani te żale! a chowaj zdrowie dla jegomości Starosty. Bóg zasmuci, Bóg pocieszy!

Z wdzięcznością przyjmuje Starościna to przywiązanie wiernego sługi, mile, chociaż w milczeniu, słucha jego pociech. Ale one nie wybiją z jej pamięci własnych słów męża. Choćby wreszcie chciała jakiekolwiek roić nadzieje, jest tylko słabą istotą, kobietą, której wydarta spokojność, a dusza rzucona w odmęt najczarniejszych marzeń. Łzy jedne mogą uśmierzyć jej boleść; wiary w istnienie męża już nie wróci!

VII.

Płyną dnie, miesiące, lata, jak myśli człowięka. Świeże zdarzenia czas z sobą w przeszłość unosi i mgłą pamiątek zawłóczy. Rany serca krzepną i nikną, najkrwawsze nawet bliźnią się pod jego balsamem. Od pobicia Turków rok siódmy mija, w grodzie Starosty Wilczka wielkie pozachodziły zmiany. Zrazu szlochy, płacze, dalekie poszukiwania; a gdy i posły króla do Stambułu wyprawieni, nawet śladu o Staroście nie zachwyciwszy z potwierdzeniem oznaczonej przez niego śmierci wrócili, nowe silniejsze nastąpiły jęki w całej rodzinie, długie posty i modły, uczty dla ubóstwa i gruba żałoba.

Dziś czas żałoby i smutku już dawno minął. W zamku zamarłe zmartwychwstało życie: huk w nim znowu i wrzawa, jak niegdyś za pana. Często zjeżdżają się goście z bliskich i dalekich sąsiedztw, wspaniałe uczty, napełniają hałasem biesiadników zapleśniałe mury.

Cóż dzieje się ze Starościną, nie utuloną w żalu po stracie męża, we łzach bezsenne trawiącą noce? I ona już spokojna, uśmiecha się, bawi z towarzyszkami, rówiennicami rodu i majątku. Chodzi nawet głucha pogłoska, że jakiś bogaty podwojewodzic z Ukrainy ubiega się o jej rękę.

»Głos ludu, głos Boga« — mówi stare jak świat przysłowie. Ciche domysły, wkrótce już jasną pewnością. Niektórzy mówią, że Starościna niby odrzuca zaloty dorodnego

panicza i rady natrętnych swatek, przecież, gdy w świetnym sług rzędzie zagrzmi przed zamek złocista kolasa, zatętnią ogniste ukraińce, i wyskoczy cudny młodzieniec i z uszanowaniem do ust gorących śnieżną przyciśnie rękę, miło jej jakoś na sercu, spogląda nań z tajemniczym uśmiechem. Cóż gdy złote słówka grackiego chłopca, głośnego w walkach, za wolność rycerza, drasną uroczym swym szmerem po sercu niewiasty?... Któreż serce kobiety nie ulegnie pod tą przemocą złudzeń czarodziejskich?

Stary Drozdowski nie bez oburzenia patrzy na te zaloty podwojewodzica. Jak tylko może zamruczy Starościnie:

— Mościa Pani! jeszcze tam nigdzie nie zapisano, że nasz Starosta nie żyje! Mościa pani! Bóg jest wszechmocny i sprawiedliwy!

Te groźne przestrogi wyrywają z słodkich marzeń Starościnę. Bo chociaż przekonana, że wiara w życie męża jest tylko urojeniem opryskliwego starca, jednak jakiś głos wewnętrzny wyrzuca jej tak nagłą zmianę uczuć, tak szybkie zatarcie pamięci Tomasza!...

Smutne myśli trapią duszę niewiasty; wstydzi się nawet swoich postępków i na zawsze wyrzeka. Cóż? gdy wtem zaraz, jakby duch zwodniczy, wciska się do serca obraz dorodnego podwojewodzica, w blasku wszystkich cnót swoich, a za nim myśli: o dziatwie osieroconej, niszczejącym majątku...

Zadumała się i wzrok jej pomimowolnie zwrócił się na papier na poboczy leżący, tam te słowa: »Pamiętaj mi zawsze o nich...« Błyskawicą rozpogodziło się chmurne oblicze Starościny, oko jej smętne wesoło zabłysło. Może dusza zwaliła tłoczący ją ciężar sumienia?... Ucałowała ostatnie pismo drogiego Tomasza.

VIII.

Wybuchły wtem nowe wojny korony ze Szwedami. Podwojewodzic urzędem, powinnością obywatela znaglony, musi stawać pod orły państwa. O jakżeż chętnie wyrzekłby się dzisiaj sławy, imienia! jakżeż chętnie zamieniłby wspaniałe swe grody, złote herby na lepiankę i prostą odzież wieśniaka, który w pokoju może uprawiać swą ziemię, podczas gdy pan jego życie swe losowi wojny powierza? Ach!

tuby on obok ulubionej Zofii mógł pędzić, może wkrótce, najszczęśliwsze chwile życia, śnić najsłodsze marzenia na łonie tej, bez której grobem dla niego świat cały! A teraz musi rzucać ją, rzucać, może na zawsze! Ale żelaznem hasłem woła wyższa powinność. Zagrzmiały trąby i kotły obozowe: na koń kwiecie młodzieży, tarczo ojczyzny! Pierś podwojewodzica zawrzała okropną boleścią, rzewnemi łzami zlał rękę oblubienicy, ona go czule żegnała, ruszył do obozu.

Odjazd zalotnika od małżonki drogiego pana rozchmurzył oblicze burgrabiego. Nie taił stary sługa przed swoją panią uczucia, jakie na nim sprawił.

— Mościa pani! chwała bądź Bogu, że nam wyprawił z domu tego gacha! Bo to, choćby człek czasem i żelazem opasał swą duszę, bies znajdzie miejsce, którem się do niej wkręci. A trudno, trudno, po uczynku odpokutować za grzech!

Westchnęła Starościna, zamyśliła się i nic nie odrzekła. Może do tego powodem dziwaczny jej humor, bo od dni kilkunastu pani, jak sobie powiadają dworscy, nie swoja. Mało mówi, często się zaduma, marzy, często westchnie. Może pamięć Tomasza, napomnieniami Drozdowskiego odnowiona, na nowo zraniły jej serce; a może i co innego ją dręczy. Któż to odgadnie? Starościna tajemnice duszy mocno zawarła na wrzeciądz milczenia! Tylko częściej się teraz bawi z dzieciakami, rzeknie do nich z westchnieniem: Biedne sieroty! jak wy potrzebujecie ojca!... i zaduma się smutnie. *(Ciąg dalszy nastąpi).*

Noc 30 stycznia.

(Obrazek z czasów powstania polskiego w roku 1863).

Zamek warszawski płonie od świateł. Generał Berg urządza bal. Cały dzień biegali po mieście rewirowi i przypominali zaproszonym, że mają być na balu pod grozą kary. Berg wystrojony, uśmiechnięty, słodki nad wyraz, wita wchodzących, ale Polaków mało, Polek tylko siedm.

Piękny zamek warszawski płonie od świateł, a drogą na dworzec, drogą boczną, daleką, śniegiem zasypaną, cisną się tłumy cicho szepczące, przechadzające się ostrożnie.

— Czy z pewnością wywiozą dziś? — pyta dziewczę, brnące w śniegu. — Babcia się zaziębi, babcia sił niema iść dalej.

Lecz staruszka, oparta na ramieniu wnuczki, szepce:

— Wywiozą!... — mówił Jadzio, wpadł zdyszany i pobiegł dalej, wieść tę rozniesie. — Wywiozą dziś 250 osób i twego ojca.

— Berg umyślnie bal wydaje, aby odwrócić uwagę i czujność naszą, spraszał pod groźbą na bal, abyśmy nie pożegnali naszych w Sybir pędzonych — mówi Baraniecki, kaleka, który o kulach wlecze się w tę noc straszną. Kto wie, czy nie zobaczy swoich dwóch synów między zesłańcami?

O dziesiątej w nocy, przed dworcem kolei tłum już był niezliczony. Matki, dzieci, starcy, kaleki: wszystko to cisnęło się, czekając, kiedy poczekalnię otworzą, kiedy im tam wejść pozwolą. Mróz dokuczliwy wzmaga się, wicher ostry świszcze straszną melodyę, jakoby skarg tysiąca i jęków tysiąca, a tłum stoi pod dworcem łzami zalany, bolem złamany, rozpaczą męczony.

— Otwórzcie nam! Niech chociaż na tę chwilę pożegnania czekamy pod dachu okryciem.

Lecz dworzec zamknięty.

Drogą z cytadeli już dawno przywiedli okutych skazańców. Przywiedli ich szereg długi, ubranych w aresztanckie wory, ogolonych bezlitośnie, pokutych czwórkami lub trójkami.

Całą noc więźniowie marzną w wagonach, całą noc stoi tłum pod dworcem, prosząc, aby go wpuszczono, aby pozwolono pożegnać, — na darmo.

U Berga na balu wlecze się godzina za godziną powoli, bo generał w złym humorze, nudzi się i gniewa, tylko siedm Polek przyszło, tylko kilku Polaków pod grozą więzienia przyprowadzono.

A na drodze, śniegiem wysoko zasypanej, stoi tłum z zamarzniętemi łzami na licach i szepce i pyta i powtarza sto razy, dwieście razy:

— Czy jego wywiozą?

— Na wiele lat?

— I rannych wywiozą?

— W Sybir pójdą dziś wszyscy?

— Babciu! — szepce dziewczę, cucąc wpół omdlałą staruszkę — może tatuś nie pojedzie, obiecał Berg, że go uwolni. Czemu babcia tak płacze?

— Jeśli pójdzie w Sybir, już go nie zobaczę, muszę go pożegnać, muszę, on jedyny mój syn...

Pierwsza w nocy... druga... czwarta... Tłum czeka na tę chwilę, aby więźniów pożegnać.

Dopiero przed piątą, gdy pierwsze dzwonienie do odejścia pociągu przebrzmiało, otwarto drzwi. Ruszył tłum jak fala gwałtowna. W sali niema ich. Biegną na peron, niema ich. Z okien wagonów tu i owdzie jakaś twarz wynędzniała wyziera. Sałdaci stoją na straży.

— Ojcze! Synu! Dziecko moje! Tadeuszu! Wacławie! — wołają wzajem na siebie, cisną się, trącają. A więźniowie cisną się do okienek wagonów i wołają:

— Bóg z wami! Bywajcie! Do widzenia!

— Babciu! widzisz, niema tatusia, nie wysyłają go, zobaczyłby nas, wołałby nas. On w Warszawie, jego uwolnią.

Lecz babcia rozpycha ludzi z siłą nadzwyczajną, idzie tam, gdzie wagon ostatni, ona wie, ona słyszała jęk i poznała, że to jej syn.

— Puście mnie! To on, mój, jęczy, ja go pożegnam.

Rozstąpili się sałdaci, kobieta z taką mocą do nich mówi; zlękli się. Ona zbliża się.

Jej syn wpół konający, w kajdanach leży na deskach wagonu. Nie dojedzie może do trzeciej stacyi. Ale był rozkaz w Sybir, więc jedzie w Sybir.

Drugie, trzecie dzwonienie. Kolby bagnetów sałdackich tłum odpychają, machina gwiżdże... pociąg odjeżdża.

— Wrócimy! — wołają młodzi i pełni ufności.

— Bóg z wami! — żegnają pełni bolu i smutku.

A dziewczę pochylone nad zwłokami babki, podniósłszy dłonie ku niebu, woła: Boże, Ty widzisz!

. . . .

W nocy 30 stycznia 1864 roku wywieźli Moskale 260 powstańców w Sybir. Między niemi byli: ksiądz Czajewicz, Baraniecki, Popiel, Brzeziński, 74-letnia Kowalewska, Żórawska, ksiądz Wespański, Gerwazy Growski, starzec z siwą brodą, i inni, których nazwisk trzebaby długo szukać.

J. S.

Czystość i porządek koło siebie.

Żeby być zdrowym nie dosyć jest utrzymywać porządek w izbie i na podwórzu; trzeba jeszcze zachować czystość koło własnego ciała. Jeżeli chcemy przesiać mąkę przez sito, lub przecedzić mleko, albo inny płyn przez powązkę czyli szmatkę, to sito i szmatka muszą być czyste. Kiedy się dziurki w sicie zapchają, a w szmatce szpary zatkają, to mąka przelatywać nie będzie, ani mleko się nie przecedzi. Coś podobnego zupełnie dzieje się i z naszem ciałem.

Ciało nasze pokryte jest zewnątrz skórą, która jest dziurkowata tak, jak sitko lub szmatka. Przez te dziurki przechodzi na zewnątrz pot, a częściowo także i powietrze. Jeżeli tedy dziurki owe pozatykają się brudem, skóra nie przepuszcza jak należy powietrza i potu, choruje, a co zatem idzie, przyczynia się do choroby ciała. Choroba ta nie koniecznie ma się objawiać przez gorączkę i śmierć, ale powoli skóra traci swą sprężystość i staje się albo wiotką, jak gałgan, lub twardą, jak skóra z buta, kolor jej zaś żółknie lub blednie. Pochodzi to z tego, że krew nie dopływa do niej, jak należy, i nie odżywia jej, jak powinna. Powoli ten brak odżywienia posuwa się w głąb ciała. Tylko czyste utrzymanie skóry zapobiega temu.

Zresztą, o ile mycie i kąpiel, a więc oczyszczanie skóry, jest dla człowieka zdrowe, dowodzi tego to, że po umyciu i kąpieli staje się człowiekowi jakoś milej i przyjemniej. Uczucie to pochodzi zwłaszcza z tego, że przez oczyszczone szparki skóry powietrze przepływa i ciało zaczyna się lepiej odżywiać. Jeżeliby wszystkie pory, to jest owe otworki w skórze ludzkiej, zatkać, to człowiek umarłby z powodu braku przewiewu powietrza przez skórę. Kiedyś nawet zdarzył się podobny wypadek. Do jakiejś ceremonii kościelnej chciano ubrać ołtarz w żywe aniołki. W tym celu pomalowano złotem skórę dwojga dzieci, które w krótkim przeciągu czasu zemdlały i z trudnością się ich docucono. Gdyby zostawiono je bez ratunku, pomarłyby w męczarniach z uduszenia. Widzimy zatem, że ciało nasze przyjmuje przez całą skórę powietrze; z tego tedy względu tembardziej starać się należy o dobry dla niego pokarm

tą drogą, to jest żeby uprzystępnić przez skórę dopływ świeżego powietrza.

Ponieważ skóra zanieczyszcza się kurzem i potem, z których tworzy się rodzaj błota zalepiającego owe pory, trzeba ją tedy często oczyszczać z tego błota przez mycie i kąpanie.

Tymczasem zobaczmy, jak się to po wsiach i miasteczkach ludzie myją.

Jeden bierze półkwaterek i idzie z nim przed próg, nadstawia ręce, opłucze je sobie, jak ksiądz przy Mszy św., potem jeszcze raz nabierze garść wody, obmyje nią twarz, wytrze się w podołek brudnej koszuli, którą dziś zdjął i już gotów do nowej kamizelki, sukmany, gorsetu lub fartucha.

Tymczasem na rękach brud tylko mu się rozmazał, po twarzy porobiły mu się różne wzory, z brudu szyja czarniejsza od niewyczernionego buta, o zakrętach zaś uszu, to już niema co mówić! Ale co to szkodzi! Na szyję zawiąże się szal wełniany lub zawiesi parę sznurków korali, na uszy spuści się włosy i zakryje tem wszelkie nieprawości ludzkie!

Jest jeszcze inny praktyczniejszy sposób mycia się, bo przy nim nie potrzeba nikogo do pomocy, a zarazem przy myciu kropi się izbę do zamiatania. Bierze się wody w usta i wypuszcza ją po trochu na ręce, ręce się opłukuje, a twarz obmywa, jak wprzódy, ale przytem biega się prędko po izbie, żeby się woda w jednem miejscu nie wylała.

Prawda, że oba sposoby czytając, wyglądają śmiesznie. A jednak niejeden z czytelników widział je na własne oczy!

Ażeby się skóra rzeczywiście dobrze oczyściła, trzeba ją często, najmniej raz na dzień doskonale wymyć. W tym celu najlepiej nabrać wody na dużą miskę, li tylko do mycia przeznaczoną, nie zaś używaną już do jedzenia. Najpierw trzeba wymyć ręce. Ażeby z nich brud łatwiej schodził, trzeba posmarować mydłem, bo mydło ma własność rozpuszczania brudu, i już zupełnie czystemi rękami należy umyć twarz. Tak samo jak ręce, trzeba myć szyję i uszy, bo i one również się brudzą. Nie należy jednak żałować ani czasu, ani wody i długo a dobrze brud spłukiwać.

Nie dość jednak myć ręce, twarz, szyję i uszy. I o reszcie ciała trzeba od czasu do czasu pomyśleć, bo choć

plecy, piersi i nogi okryte są odzieniem, brud i tam znajdzie sobie drogę. Dobrze więc uczyni, a każdy zrobić to może, byle chciał, gdy odstawi sobie dużą beczkę, jak na kapustę, i w niej choć raz na miesiąc zanurzy się całkowicie w ciepłej wodzie, bo od ciepłej wody z mydłem łatwiej brud puszcza. Beczkę taką można po kąpieli wyszorować, wysuszyć i trzymać w niej suche jakie rzeczy. Niejedna wieś mogłaby sobie zresztą kupić odpowiednią wannę.

(Dokończenie nastąpi).

Przygoda nocna.

Pan Anzelm Anastazy dwojga imion Moczygęba był sobie dzielnym obywatelem, a mianowicie zaszczyt przynosił swojemu nazwisku. Trzymał on się tej zasady, że roślina marnieje, jak nie bywa podlewaną, a cóż dopiero tak szlachetne stworzenie, jak człowiek! To też przy każdej danej sposobności rzetelnie pracował w rozmaitych płynach, a że miał żelazne zdrowie, nie zaniedbał obowiązków i w nikogo nie zawadzał, gdy miał pod czupryną, więc też nikt mu zasad jego zbytecznie za złe nie poczytywał.

Miał pan Moczygęba starego woźnicę, Jana, który zapatrywał się na swojego pana i z równym zapałem, jak tenże, przyswajał sobie wilgoć, gdziekolwiek takową zastał w butelkach, kuflach, kieliszkach i szklankach. Nie był ten zapał i ta emulacya Jana panu Moczygębie na rękę, ale że Jan zresztą był wierny, więc nie chciał pozbywać się starego sługi. Z drugiej strony jednakże było to rzeczą arcyniebezpieczną, gdy w mieście obaj, pan i woźnica, zalali czupryny, bo natenczas z powrotem mogło się nieszczęście wydarzyć.

— Nie, Janie, tak to dłużej być nie może — powiedział razu pewnego pan Moczygęba — jeden z nas musi być trzeźwym! Pozwolę ci zatem co trzeci raz, gdy będziemy w mieście, pić do woli, a ja się wtenczas wstrzymam od picia, ale pamiętaj, że następne dwa razy do mnie potem należą, a ty będziesz musiał pościć!

— Dobrze, Wielmożny Panie! — odpowiedział Jan i odtąd ściśle się tej kolejki trzymali: dwa razy po sobie

pan Moczygęba przyjeżdżał sam podcięty do domu, a trzeci raz Jan był rzetelnie umalowany, podczas gdy pan jako tako się trzymał. Co się zaś w domu działo, to nie wchodzi w rachubę.

W ten sposób zachowywali pan i sługa kolejkę i było obydwom z tem dosyć dobrze. Razu pewnego jednakże zaszła w obrachunku pomyłka; kto właściwie taką spowodował, trudno dociec — dosyć, że i pan Moczygęba i Jan sądzili, że to na nich kolej i obaj urżnięci jak cztery dziewy wracali nocą do domu, śpiąc jeden w powozie, drugi na koźle. Wtem naraz konie stanęły. Stara to historya, że gdy młyn stanie, natenczas śpiący w nim młynarz się obudzi. To też i pan Moczygęba i Jan równocześnie się obudzili.

— Janie! — zawołał pan Moczygęba.

— Co, Wielmożny Panie?

— Co się stało?

— Nie wiem, Wielmożny Panie.

— Konie stanęły!

— A stanęły, proszę Wielmożnego Pana.

— Gdzie jesteśmy?

— Kaci tam wiedzą; ciemno jak w miechu.

— A to źle?

— Katać tam dobrze, Wielmożny Panie!

— Janie!

— Co, Wielmożny Panie?

— A kiedy słońce wschodzi?

— Rano proszę Wielmożnego Pana.

— A księżyc?

— To też pewnikiem będzie nad ranem.

— Hm, hm, — Janie!

— Co, Wielmożny Panie?

— Przywiąż konie do najbliższego drzewa, nakryj je dobrze, a potem przyjdź do mnie do powozu. Noc chłodna, a tyś stary. Musimy zaczekać aż się rozwidni.

Jan zeszedł z kozła, mrucząc coś pod nosem, że »zaraz to mówił, iż tak będzie«, potem przywiązał konie, nakrył derami i wszedł do powozu, i tak razem z panem zasnęli snem sprawiedliwego.

Z rana ekonom wyszedł z domu, a idąc przez podwórze, zdziwił się niemało, gdy ujrzał przed pałacem lan-

darę pańską, konie przywiązane do drzewa i nakryte derami. Nie wiedząc, coby to miało znaczyć, zbliżył się cichaczem, otworzył drzwiczki i znalazł w powozie — pana Moczygębę i Jana, opartych o siebie ramionami, kiwających się na wszystkie boki i chrapiących, aż szyby landary drżały.

No, to przebudzenie!

O tańcach słów kilka.

Tańce pochodzą od pogan, którzy na cześć bałwanów kręcili się i tańczyli. »Tańce, jeżeli nie są gorszące, są rzeczą obojętną«, mówi św. Franciszek Salezy. Więc takie tańce mogą nie być grzechem. Przeto w domu uczciwym, pod okiem rodziców i starszych, młodzież może niewinnie się zabawić, w czasach i dniach właściwych. Ale ponieważ w dzisiejszych czasach powymyślane są tańce nieprzyzwoite, a wiele ich z zagranicy z innemi niegodziwościami do nas przyszło, gdzie wszelka przyzwoitość i skromność bywa obrażoną, już postawą, już ruchami obrażającemi, już wreszcie zbytnią poufałością i zbliżeniem; tedy trudno pojąć, jak kobieta chrześcijańska może iść do takiego tańca, bez wyrzeczenia się właściwej skromności płci swojej.

»Niech matki, miłujące poczciwość, uczą córki swoje religii i pracy, ale nie tańca«, mówi św. Ambroży. »Czego się uczą w tańcach? zapytuje św. Cypryan. W c h o d z ą n a t a ń c e n i e w i n n i, a w y c h o d z ą n i e r a z w y s t ę p n i. Jesteś wprawdzie skromną dziewicą, nie rzucasz na nikogo znaczącego spojrzenia, ale sama jesteś jego przedmiotem. Nie kalasz oczu twoich pożądliwością, ale możesz ją zapalać w innych«.

Mogą być tańce niewinną zabawą w domu uczciwym i pod okiem starszych; ale te karczemne zbiegowiska publiczne, bez żadnego dozoru i czujności, gdzie bez różnicy rozmaity gatunek ludzi się zgromadza, i tam, te hulanki rozpustne, te słowa dwuznaczne, te piosnki gorszące i te żarty nieskromne lub wprost zwierzęce, czy mogą być dobremi? W takich karczemnych zbiegowiskach, czart prze-

klęty ogromne żniwo zbiera dla siebie, gdyż niejedna niewinność i cnota tam ginie!

Święty Augustyn powiada, że każdy ojciec lepiejby zrobił, żeby syna nauczył pracy jemu właściwej, a matka córkę prząść, tkać i szyć, aniżeli tańców i podobnych zabaw. Zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdzie praktyka życia i praca stanowi byt, gdzie każda chwila czasu zmarnowana, to jest utracony pieniądz. A niestety, wiele matek swym córkom pozwala tańczyć, a nawet i romansować, ale o uczciwej nauce nie pomyślą. I taka dzieweczka wyszedłszy za mąż, nie wie od czego ład w domu i porządek w swem gospodarstwie zacząć, bo nic nie umie.

Święci Ojcowie powiadają, że taniec jest to koło, którego środkowym punktem jest dyabeł; że jest to piekielna procesya, której przewodnikiem jest szatan. Gdyż początek tańca, jak powiedzieliśmy, pochodzi od pogan, którzy na cześć fałszywych bóstw, a więc na cześć szatana tańczyli.

Jednego razu, religijna matka, wychowująca swe córki po chrześcijańsku, towarzyszyła im na publiczne tańce. Gdy weszły na salę i spojrzały na ten szalony wir tańczących, młodsza córka, która pierwszy raz znalazła się na tem widowisku, wzniosła oczy w górę, westchnęła i ujrzała Chrystusa Pana ukrzyżowanego, zbroczonego krwią, mówiącego te słowa: »Patrz córko, jak mnie morduje wasza lekkomyślność i niebezpieczeństwo, w jakie tu się wdajecie!« Panienka zadrżała, widzenie i słowa Pana Jezusa powiedziała matce, i natychmiast opuściły tańce.

Świątobliwa siostra błogosławionego Damjana po śmierci pięćdziesiąt dni gorzała w czyścowych płomieniach zato, że z przyjemnością słuchała muzyki i patrzyła na tańcujących.

Za czasów Rudolfa I. cesarza, w Tryeście, zebrana liczna młodzież publiczne wyprawiała tańce na moście, rozciągniętym przez port. W czasie tego przechodził przez most kapłan z Najświętszym Sakramentem do chorego, lecz tańcownicy nawet uwagi nie zwrócili. Skoro tedy kapłan z Panem Jezusem przeszedł, most natychmiast się zawalił i dwieście osób młodzieży utonęło. — W innem miejscu, podczas wesela dom się zapalił i sto ośmdziesiąt osób tańczących zgorzało.

Za naszych czasów, przed kilkunastu laty, w mieście Płocku, na urwisku góry nad Wisłą, stał dom, w którym odbywało się wesele i tańczono. W jednej chwili góra się oberwała, z całym domem i ludźmi wpadła w nurty Wisły, i ani jeden żywy nie wyszedł. Tańcząca Herodyada wytańczyła morderstwo i głowę św. Jana Chrzciciela. A dziś niejeden i niejedna wytańczy sobie biedę, hańbę, jęk i płacz na całe życie, albo potępienie duszy na wieki.

Co mówił święty Jan Chryzostom

o tych, którzy z kościoła wcześnie wychodzą.

Pomiędzy wielu wadami chrześcijan za czasów św. Jana i za naszych czasów, była i ta, że jak najspieszniej wychodzą z kościoła. Mianowicie dzieje się to najczęściej po miastach, gdzie nie panują stare, dawne zwyczaje kierujące ludźmi. Ludzie wychodząc przed skończonem nabożeństwem, przeszkadzają innym.

Św. Jan wymownemi słowy powstaje przeciw temu w jednem kazaniu: »Czy mam powiedzieć wam, skąd pochodzi ten niepokój i hałas? Oto z tego, że nie zamykamy drzwi kościelnych, póki się nabożenstwo całkiem nie skończy i że możecie wyjść, nim kapłan ukończy wszystkie modlitwy. Że wychodzicie wcześniej, to jest znakiem, że nie szanujecie nabożeństwa. Co czynisz człowiecze? Kiedy Pan Jezus jest obecny i Aniołowie, kiedy widzisz przed sobą ołtarz; kiedy bliźni twoi uczestniczą w świętych Tajemnicach, opuszczasz wszystko i wychodzisz. Lecz kiedy jesteś zaproszony na ucztę, nie odchodzisz pierwej, nim nie powstaną inni goście zaproszeni, chociaż już przedtem jesteś nasycony. Tylko z kościoła uciekasz, kiedy się odprawia duchowa uczta, kiedy bliźni twoi takowej jeszcze używają.

Z kościoła wychodzisz? Czy to jest do przebaczenia? Czem można usprawiedliwić takie postępowanie? Czy chcecie wiedzieć, kogo naśladują ci, którzy przed końcem całego nabożeństwa, przed ostatniemi modlitwami wychodzą z kościoła, którzy po Wieczerzy Pańskiej powtórzonej z całą gminą nie zanoszą pieśni dziękczynnych Bogu? Może wam

to się będzie wydawało gorzkiem, kiedy to powiem, lecz ponieważ wielu w tej sprawie jest nader obojętnych, muszę powiedzieć.

Kiedy Judasz ostatniej nocy z innymi uczniami był przy stole z Panem Jezusem, odszedł sobie, chociaż wszyscy jeszcze siedzieli przy stole. A więc za przykładem Judasza postępują ci, którzy przed końcem nabożeństwa wychodzą ze świątyni. Gdyby nie był wyszedł, nie byłby się stał zdrajcą; gdyby nie był wyszedł z owczarni, wilk nie byłby mógł go pożreć; gdyby nie był się dobrowolnie odłączył od swego Pana, od swego pasterza, nie byłby się stał łupem dzikiego zwierza. Wyszedł jednak do żydów, lecz inni uczniowie prędzej nie poszli, póki Pan nie uczynił dzięków po wieczerzy. Czy nie widzisz, że ostatnie modlitwy po Komunii świętej są podobne do dzięków, jakie Pan Jezus złożył po wieczerzy. O tem pamiętajmy tedy, najmilsi, abyśmy uszli kary, która jest naznaczona za ten grzech. Pan Jezus daje ci swe Ciało na pokarm, a ty nawet słowy nie dziękujesz za to niewysłowione dobrodziejstwo, nie dziękujesz mu za to, że od niego otrzymujesz pokarm duchowy, który przewyższa doskonałością wszelkie stworzenie widzialne i niewidzialne, chociaż jesteś niedobrym człowiekiem i prochem, nie czekasz tak długo, ażbyś podziękował słowami i czynem? Czyż to co innego, jak umyślnie ściągać na siebie zasłużoną karę?

To mówię, abyście nie robili hałasu, lecz pomnąc swego czasu na upomnienia moje, zachowali się przyzwoicie, jako prawdziwym chrześcijanom przystoi. To co się dzieje w kościele, nazywa się Tajemnicą, i to też są Tajemnice. Gdzie się zaś odbywają jakie tajemnice, tam trzeba zachować spokój. Dlatego zbliżajmy się do tych Tajemnic w milczeniu, obyczajnie i z uszanowaniem, abyśmy otrzymali więcej łaski Boskiej, abyśmy się z grzechów oczyścili i stali się godnymi szczęścia niebieskiego!«

Różne rady pożyteczne.

Bielenie obór i chlewów. Są jeszcze do dziś gospodarze, którzy bielenie stajni, obór i chlewów uważają za zbytek, bez którego obyć się można. Pajęczyna, kurz i brud grubo osiadły na ścianach i oknach, a nikt ich tknąć nie śmie, jak gdyby nieodzowne one były dla wygody zwierząt. Tymczasem jest to tylko wygoda dla lenistwa ludzkiego, a dla inwentarza szkoda niechybna.

Pajęczyna jest prawdziwem zbiornikiem kurzu, a ten znów znakomitem siedliskiem dla much i różnego rodzaju bakcyli. Czystość jest pierwszym i ostatnim warunkiem zdrowia inwentarza i jego powodzenia.

Koniecznie zatem należy stajnie i chlewy przynajmniej dwa razy do roku gruntownie oczyścić z brudu, kurzu i pajęczyny, a następnie wybielić. Kto raz tego spróbuje, ten już od zwyczaju tego nie odstąpi, bo nie tylko że widok czystych stajni i chlewów milszy jest dla oka, ale i korzyść z tego znaczna. Gospodynie przekonają się wkrótce, że i mleka więcej będzie i łatwiej ono przerobić się da na smaczne i pokupne masło.

Ruch jest zwierzętom dla zdrowia koniecznie potrzebnym, przeto pamiętać wypada także w porze zimowej o wypuszczaniu bydła prócz opasów na dwór, chociaż na krótki czas. Zważmy, iż np. krowy lub woły stale bywają trzymane na uwięzi, na łańcuchu, tak, że zmuszone bywają stać ustawicznie na jednem miejscu. Nogi sztywnieją im formalnie, a wypuszczane z wiosny po raz pierwszy na dwór, przedstawiają smętny widok, albowiem widok zwierząt zesztywniętych. Sztywność członków nie ustępuje tak zaraz. Czyż nie jest poniekąd lekkiem męczeniem zwierząt, gdy je się stale utrzymuje na uwięzi?

Doświadczeni gospodarze radzą wypuszczać bydło na dwór do pojenia. Jesteśmy zdania, iż w dni niezbyt zimne, w których niema ślizgawicy, wypuszczać można bydło na podwórze chociaż na kwadrans lub na pół godziny dziennie, chociażby je pojono w oborze wodą ustałą, która jest zdrowszą od wody lodowatej. Przez stałe przebywanie na stajni, traci inwentarz znacznie na odporności, łatwiej podlega chorobom. Zastósujmy się do tego!

Kit do kitowania lanego żelaza. Bierze się dwie części salmiaku i jedną część siarki (z drogueryi lub apteki) i 16 części opiłków od lanego żelaza. To wszystko miesza się dokładnie i pozostawia tę mieszaninę w takim stanie. Gdy się zamierza kitować uszkodzony kawał lanego żelaza, bierze się cokolwiek z powyższego proszku, który się znów miesza z 20 razy od tego cięższą częścią czystych opiłków żelaznych, tak, aby się wymieszał rodzaj klejstru.

Tym to klejstrem pociąga się starannie pęknięte miejsca, a całość mocno ściąga. Skoro kit zupełnie wyschnie, tak skitowany kawał żelaza co do odporności w niczem nie ustąpi jednolitej części żelaza. Prosty ten sposób zaleca się zastósować w każdym danym razie i to nie tylko u części od maszyn, lecz i u tego rodzaju sprzętów kuchennych.

Pomoc przy zapruszeniu oka. Kiedy w oko wpadnie piasek, pyłek, plewa przy wianiu zboża i t. p., radzimy środek następujący: niezwłocznie po zapyleniu, gdy jeszcze oko nie zdążyło zaboleć, ująć trzeba pomiędzy dwa palce, duży i wskazujący, brzeg górnej powieki od strony rzęsów i zlekka pociągnąć ją na przód i na dół o tyle, iżby dotykała ona brzegu dolnej powieki. W tej pozycyi trzymać powiekę przez dwie do trzech minut, co zazwyczaj wystarcza, ażeby pyłek wypłynął z oka razem ze łzami, dążąc do miejsca zwanego czerwonem mięsem, skąd, przy obfitości łez, spada na policzek. Sposób ten o tyle dobry, że obywa się bez pomocy innych osób.

ROZMAITOŚCI.

Mrozy i śnieżyce. Pierwsze dni stycznia b. r. dały się mrozami i śnieżycami bardzo we znaki nie tylko u nas, ale jeszcze może więcej w całych Czechach i na Śląsku pruskim. W okolicy miasta Wrocławia znaleziono 9 osób zmarzniętych, w tem troje dzieci.

W Anglii znaleziono koło miasta Birmingham 8 osób zmarzniętych. We Francyi półn. spowodował

mróz styczniowy wiele ofiar w ludziach. Szpitale przepełnione są chorymi, którzy mają odmrożone twarze, uszy i ręce.

W Rosyi wschodniej srorzą się niezwykłe śnieżyce, a wiele pociągów ugrzęzło w zaspach śnieżnych, tak, że z trudem udało się przyjść z pomocą podróżnym i przewieźć ich do najbliższej stacyi.

Cesarski dar. Cesarz austryacki Franciszek Józef I. ofiarował Ojcu świętemu Piusowi X. z okazyi swego wyzdrowienia milion koron na potrzeby Kościoła.

Nierozsądna młodzież. Pewna garstka lwowskich akademików, stojąca pod wpływem socyałów i żydów, zebrała się przy końcu roku zeszłego na wiec i orzekła, że to ubliża godności wiedzy, aby rok szkolny na uniwersytecie rozpoczynał się nabożeństwem w kościele, jak to jest we zwyczaju.

Każdy rozumny człowiek przyzna, że chyba większego głupstwa palnąć nie można. Więc nabożeństwo kościelne ma ubliżać nauce — a pijatyki młodzieży uniwersyteckiej po knajpach i różne zabawy nie bardzo przystojne, to te nie ubliżają wiedzy!

Bunt kobiet. W gub. kowieńskiej (w Rosyi) w Bejsagole, na stacyi kolei, wybuchł niedawno „bunt kobiet". Wielka gromada kobiet z okolicy nie dawała ładować zboża do wagonów na wywóz za granicę. Miejscowy żandarm kolejowy, nie mogąc sobie dać rady z tłumem kobiet, przyjął warunki, stawiane przez „buntowniczki". Ale wezwana z powiatu straż ziemska rozpędziła energiczne niewiasty i kilka z nich aresztowała. Następnie z pośpiechem naładowano zboże do wagonów i wyprawiono je w drogę.

Straszne sceny przy traceniu przestępcy. Dwaj Serbowie, nazwiskiem Sawa Maliwojsa i Jowo Majkicz, którzy zamordowali bogatego kupca tureckiego Hassan beg Cekicza, zostali straceni na dziedzińcu sądu obwodowego w Bihaczu (w Bośnii). W wigilię wykonania wyroku wedle zwyczaju miejscowego, dobosz obchodził ulice miasta, bębnieniem zwoływał mieszkańców i zawiadamiał ich o jutrzejszem straceniu morderców.

Ludność serbska była pewna do ostatniej chwili, że nastąpi ułaskawienie, a nawet Jowo Mandicz, starszy kupiec i członek serbskiego kongresu narodowego, zbierał

podpisy pod telegraficzną prośbę do cesarza o ułaskawienie, ale wysłanie telegramu nie przyszło do skutku, gdyż Turcy odmówili swoich podpisów.

Nazajutrz o godz. 7 mej rano zjawił się na miejscu tracenia kat Seyfried, syn wiedeńskiego kata. Wyprowadzono najpierw Sawę Miliwojsę, którego wlekli napół nieprzytomnego pomocnicy kata pod szubienicę. Twarz jego była straszliwie zmienioną pod wpływem śmiertelnego strachu. Wreszcie zawisnął na szubienicy i po trzech minutach kat oświadczył, że stało się zadość sprawiedliwości ziemskiej.

Gdy następnie Jowe Majkicz, wyprowadzony na dziedziniec, ujrzał zwłoki swego towarzysza, wiszącego na szubienicy, wydał rozdzierający okrzyk i padł na ziemię zemdlony. Lekarz sądowy pracował przez dłuższy czas, zanim go zdołał przyprowadzić do przytomności. Wreszcie i drugi przestępca zawisnął na szubienicy, ale śmiertelne drgawki trwały przez 8 minut, poczem dopiero nastąpił zgon.

Ucieczka lwa. W mieście Brukseli (w Belgii) z menażeryi tamtejszej umknął ogromny lew i błąkał się po ulicach. Przechodnie uciekali przerażeni na widok zwierzęcia, kryli się w bramach domów i w sklepach Wygłodniały lew rzucił się wreszcie na jakiegoś młodego człowieka i byłby go niechybnie rozszarpał, gdyby nie to, że z pomocą pośpieszyli policyanci. Jeden z nich odważnie zarzucił lwu sznur na szyję, inni celnymi wystrzałami powalili zwierzę na ziemię.

Zbiór monet w żołądku kury. W pewnej wsi około Schlettstedt, w Badenii (w Niemczech), zabito kurę i znaleziono w jej żołądku zbiór monet: dziesięciofenygówkę, dwie pięciofenygówki, dwufenygówkę i pięć jednofenygówek.

Bohaterska śmierć. Na stacyi Nakosori (w Meksyku) stanął pociąg towarowy nagle w płomieniach. Ogień tak szybko się rozszerzył, że o jego ugaszeniu nie można było myśleć. Maszynista Garcja wiedział, że w pociągu były dwa wagony, napełnione dynamitem, których nie można już było odczepić. Gdyby zaś do nich dostały się płomienie, całe miasto z tysiącami mieszkańców wylecia-

łoby w powietrze. — Bohaterski maszynista ani chwili nie zawahał się poświęcić swego życia dla uniknięcia strasznego nieszczęścia, a usunąwszy resztę urzędników z pociągu, wskoczył na maszynę i z całą siłą pary wyjechał z płonącymi wagonami z zagrożonego miasta. Po kilku minutach jazdy, na nieszczęście przy domku strażniczym, w którym znajdowało się 12 ludzi, nastąpił straszny wybuch, a cały pociąg, domek strażniczy i ludzie wylecieli w powietrze. Tylko dół 8 metrów głęboki w ziemi wskazywał na siłę wybuchu.

A bohaterowi, który swojem poświęceniem uratował całe miasto, który wiedział, że idzie na śmierć niechybną, nie można było nawet sprawić chrześcijańskiego pogrzebu, bo nie pozostało ani jednej kostki z niego. Ludność miasta zbiera obecnie składki, aby pamięć bohatera i swego wybawiciela uczcić wspaniałym pomnikiem.

Kongres włóczęgów obradował przez kilka dni w listopadzie r. z. w Cumberland (w Ameryce). Zebrali się delegaci bractwa włóczęgów, rozrzuconego po całym kraju i obradowali nad ustanowieniem nowego sposobu oznaczania domów, których mieszkańcy rozdają obfite jałmużny. Uczestnicy kongresu rozporządzali widocznie znacznymi środkami pieniężnymi, gdyż przez czas ich pobytu wypito wódki w mieście w dwójnasób.

Automaty z mlekiem. W Brunszwiku (w Niemczech) na podwórzach szkolnych umieszczono automaty z mlekiem (samoczynne aparaty). Mają one dwa rodzaje: mniejszy służy do dostarczania naczyń do picia, zrobionych z nieprzemakalnego papieru, z drugiego leje się mleko zimne lub ciepłe, zależne od nastawienia odpowiedniej wskazówki na „zimne“ lub „ciepłe“. Uczeń wrzuca więc najpierw monetę 5-cio lub 10-cio fenigową do pierwszego aparatu, z którego, po przyciśnięciu guzika wysuwa się papierowy kubek, metalowa marka na większą lub mniejszą ilość mleka i kupon kontrolny, służący rodzicom za dowód, czy dziecko użyło dane mu pieniądze na cel przeznaczony. Z otrzymaną marką idzie do drugiego aparatu, podstawia kubek pod umieszczoną tam rurkę, nastawia osobną wskazówkę oznaczającą ciepłotę, przyciska nogą wystającą u dołu łapkę, a wskutek czego wlewa się teraz do kubka

odpowiednia ilość mleka. Zbiornik z mlekiem jest oziębiony lodem i zaopatrzony podwójnemi ścianami. Jeżeli potrzeba ciepłego mleka, odpowiednia jego ilość ogrzewa się szybko nad umieszczoną w aparacie lampką spirytusową. Prócz tego w aparacie owym znajduje się jeszcze zbiornik z wodą. Za każdym razem woda po użyciu przepłukuje wszystkie rury. Jest więc on i praktyczny i hygieniczny. Postanowiono zaprowadzić ten praktyczny aparat we wszystkich szkołach w Niemczech, na placach miejskich itd. W przyszłości ma być także wprowadzony do wielu fabryk, gdzie dostarczać będzie robotnikom świeżego i zdrowego mleka.

Nowy sposób konserwowania zwłok. Pewien robotnik włoski, Pinettie, wynalazł nowy środek konserwowania zwłok przy pomocy pewnego rodzaju wstrzykiwań. Trupy przechowane być mogą w stanie zwykłym lub skamieniałym. Wynalazca ma nadzieję rozszerzyć zastosowanie swego wynalzku do stłumienia chorób epidemicznych. Wstrzykiwanie do zdrowych organizmów nic nie szkodzi.

Straszny gość. W Pittsburgu (Ameryka północna) był niedawno tamtejszy ogród zoologiczny widownią strasznego zdarzenia. Oto dziki, nubijski lew, wyrwał się nagle z klatki i wpadł pomiędzy publiczność, która licznie zgromadzona słuchała muzyki. Lew ten był wspaniałym okazem. Mimo wszelkich usiłowań ludzkich, w celu oswojenia go, nie zdołano dopiąć do celu. Pokazywano go publiczności jako specyalną ciekawość w osobnej klatce. Kiedy wartownik opowiadał publiczności o poprzednich losach tego lwa, ten nagle rzucił się z całą siłą na żelazne sztaby klatki i zgruchotał je za jednym zamachem. Kobietę, która stała w pobliżu klatki. zabił jednem uderzeniem potężnej łapy, następnie przewrócił ją na bok i wyrwał wielki kawał ciała z biodra swojej ofiary. Tymczasem policyanci, którzy chwilowo byli przestraszeni, chwycili za rewolwery i poczęli strzelać do strasznego gościa. Dopiero po około stu trafnych strzałach lew padł konając na ziemię.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.